

Kalina Beluch

O "Głosach" Bohdana Urbankowskiego

Niepodległość i Pamięć 14/2 (26), 269-295

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Kalina Beluch
Katowice

O *Głosach* Bohdana Urbankowskiego

1. Wyjaśnienie tytułu

Czym są tytułowe głosy? Lub inaczej: komu poeta udziela głosu? Zanim to wyjaśnimy, spójrzmy na motto i na polemizujący z nim wiersz wstępny. W wierszu *W Warszawie* zacytowanym jako polemiczne motto Czesław Miłosz mówił: Nie mogę/ Nic napisać bo pięcioro rąk/ chwyta mi moje pióro /.../ czyż na to jestem stworzony,/ by zostać płaczką żalobną? Ja chcę opiewać festyny, /.../ Zostawcie / poetom chwile radości,/ Bo zginie wasz świat. Urbankowski próbuje podjąć to wyzwanie, rezygnuje z chwil radości i z opiewania festynów i próbuje udzielić głosu umarłym. Umarli nie mogą mówić inaczej jak ustami poety:

„Poeta zaciska usta
próbuje napisać pierwsze słowo
pióro miota się po papierze
jakby wrywały je sobie
ręce umarłych.

Na kartce krwawią hieroglify
może czytelne z tamtej strony...

Poeta otwiera usta –
Słuchać przekrzykujące się głosy:

Każdy chce mówić o swej śmierci
Każdy chce mówić o swym życiu

Głosy zmarłych zlewają się w skowyt i szept
skowyt i szept

Innego głosu Boga
nie usłyszycie”.

Jedyny głos Boga, który słyszą ludzie XX wieku, to głos wielu umarłych: głosy tych, którzy zginęli w obozie w Buchenwaldzie (choć zdarzają się głosy ofiar Oświęcimia oraz tych, którzy przeżyli piekło obozów). Poznajemy także głosy ich katów. Jeden z nich, Kurt Goeth, mówi:

„Mężczyźni znają jedną tylko rozkosz
i my wspominaliśmy ją latami:
ruch ręki w dół – śmierć,
ruch ręki w górę – życie.

Ci, którzy nie zabili są jeszcze dziewicami.
Męskości nie zdobywa się w łóżku kobiety
lecz w walce z innym mężczyzną. (...)
(...) Do końca życia unikałem kobiet
to robi z człowieka szmatę,
rozładowuje”.

Jest w tym coś i ludzkiego, i boskiego zarazem. Poczucie władzy nad drugim człowiekiem, jego życiem i śmiercią może być naprawdę upajające – czujemy się wtedy naprawdę mocni. Jeśli sami nie możemy wystąpić w roli gladiatorów, lubimy przynajmniej popatrzeć. – Mężczyznom przemoc daje dodatkowo poczucie siły. Trochę w tym winy stereotypowych schematów wychowania – chłopiec uczy się, że ma być twardy, że nie może sobie pozwolić na łzy, że uderzony musi również oddać cios... Jeśli młody człowiek wyrasta w otoczeniu pełnym przemocy, uznaje ją za rzecz normalną. Chce być Bogiem, chce być nadczołwiekiem, czasami staje się potworem.

W chórze składającym się na głos Boga słyszymy rozmaitych ludzi, są w nich nawet duchowni, jak pastor Friedrich Goeth. Różnie przeszli przez czas próby, o którym pastor pisał w następujący sposób:

„Czas próby. Czas, który będzie powracał jak przyptyw
coraz wyższymi falami...”.

Kobiety starały się ocalić ciepło rodzinnego gniazda – były dobrymi znanymi i matkami. Wspomniany pastor Friedrich stał się ofiarą (został zamordowany w kwietniu 1955 roku). Kurt natomiast został katem...

Inny z katów, blokowy Rybka, wspomina:

„Biłem. Bo tak się uczy psy i ludzkie dzieci
życia. Kijem w obojczyk – to najlepszy sposób”.

Ludzi można traktować tak samo jak psy. Można ich tresować, zmuszać biciem do posłuszeństwa. Trudno powiedzieć, czy to wychowanie do boskości nawet pojętej w duchu germańskich sag. Na pewno wychowanie do Nie-ludzkości.

Szkieletem spajającym książkę są notatki, czy ściślej mówiąc pseudonotatki oparte na autentycznym dzienniku, lecz przetworzone w kalejki, pełne opuszczeń zapiski. Ich „autor” dr Hans Schmidt jest dodatkowym narratorem *Głosów*. Jak wszechwiedzący narrator powieści patrzy z zewnątrz na losy swoich bohaterów. Sam jednak także staje się bohaterem swych notatek, które zmieniają się w prozy poetyckie mówiące o dwóch miłościach bohatera. Zamienia się w jeden z „głosów”. Wszyscy zamieniamy się w głosy. Innego głosu Boga nie usłyszycie.

Omawiając poszczególne głosy nie zapominajmy więc – o najważniejszym głosie, który dobiega z ust poety. Tym, który zespała wszystkie opowieści w całość. Styl mówienia jest w powyższym wypadku oszczędny, niemal reporterski. Przypomina momentami *Medaliony* Zofii Nałkowskiej. Nie ma tu podniosłych słów czy epatowania okrucieństwem. Jednak między wierszami aż kipi od emocji. Odczuwamy całe zło obozu z ogromną mocą. Ten pozornie beznamiętny styl jest więc strzałem w dziesiątkę. Tak właśnie trzeba pisać w dzisiejszych czasach. Bombardowanie strasznymi obrazami, z czym mamy do czynienia na co dzień (wystarczy włączyć radio czy telewizję) prowadzi bowiem do ochronnego zubożnienia. Nieraz jedząc obiad czy kolację dowiadujemy się między jednym kęsem a drugim o katastrofach samolotów czy krwawych zamachach. Jakoś nam to nie psuje apetytu.

A o czym mówią owe głosy? Jakie opowieści snują? Postaram się to uporządkować w kolejnych rozdziałach.

Głównymi bohaterami są więźniowie. Niektórzy z nich, jak Doktor Polak (postać historyczna: Artur Gadziński), „Karolek, dziecko obozu” (trzyletni Karolek Kaczyński, najmłodszy więzień polityczny, o którym napiszę szerzej w rozdziale o dzieciach) i paru innych pojawia się na kartkach książki wielokrotnie. Powieść rozpada się jakby na nowelki zorganizowane wokół losu bohaterów, którzy są znani z nazwiska, pseudonimu lub przynajmniej numeru. Zdarza się jednak, że jedna postać to w rzeczywistości połączenie historii kilku osób. Czasem też nazwisko jest nieprawdziwe. Jednak nie jest to reguła. Bardzo częste są natomiast cykliczne wiersze o konkretnych osobach. Zdarza się, że poznajemy danego człowieka z kilku, niejednokrotnie sprzecznych, punktów widzenia. Niekiedy te różne punkty widzenia wynikają po prostu z odmiennej interpretacji wydarzeń. Przykładem może być jedno ze wspomnień o „Doktorze Polaku”. Pewnego dnia pod jego rewir przywlekli się chorzy. Jaka była jego reakcja? Zupełnie niespodziewana – zaczął ich bić kijem i wrzeszczeć do Niemców, że są oni zdolni do pracy, tylko symulują. Okrucieństwo, prawda? To dopiero połowa „noweli”. Bo inny utwór rzuca zupełnie odmienne światło na postępowanie „Doktora Polaka”. Okazuje się, że tego dnia oprawcy wybierali więźniów, którzy mieli iść do komory gazowej. Taki los czekał oczywiście niezdolnych do pracy. Zbliżamy się do zaskakującej pointy, która wyjaśnia scenę bicia więźniów, pojmujemy, że „Doktor Polak” bijąc chorych na oczach Niemców za rzekome symulanctwo ocalił ich przed pewną śmiercią!

Zdarza się też, że obraz danej postaci nie jest jednoznaczny, że we wspomnieniach zachowały się zarówno uczynki dobre, jak i podłe. Staje się ona więc wielowymiarowa. Nieodparcie przypominają się w tym miejscu słowa Różewicza z wiersza „Ocalony”:

„Jednako waży cnota i występki
widziałem:
człowieka który był jeden
występny i cnotliwy”.

Bywa także, że jeden utwór jest uzupełnieniem poprzedniego. W jednym z utworów z cyklu „Doktor Polak – listy w butelkach po lekarstwach” czytamy na przykład:

„Sobota. W nocy odszedł filozof – ten Czech
co za wszystko dziękował a w modlitwie
prosił niebo o śmierć powolną, z widokiem na Hradczany-
Umyślił złapać tyfus i potem
uciec ze szpitala – mniej pilnują...
Wykonał jednak tylko połowę planu:
w gorączce wypełził jak wielki świerszcz za blok
i uparcie patrzył na południe
może pięć może siedem minut –
zanim zamarł z wytrzeszczonymi gałkami”.

W sąsiadującym, następnym wierszu „Kapo Oleg Dimko” pojawia się wzmianka:

„Którejś nocy czy dnia – na tym obłądnym apelu
za latryną znalazłem Czecha, który wypełził, by zdechnąć na tyfus”.

Nie wszyscy jednak pojawiają się w cyklach. Wielu, wspomnianych tylko raz, przelatuje przed naszymi oczami jak meteory. Jednak nie gasną, nie umierają do końca. W świecie *Głosów* panuje śmierć, ale jednocześnie istnieje nieśmiertelność, paradoksalna nieśmiertelność udzielana przez zauważoną śmierć. Zauważoną przez poetę? Przez Boga? Autorem wierszy jest poeta, ale poeta powątpiewa w moc swoich słów mówiąc w utworze „Ballada druga o powrotach”:

„I poetę Bóg przed śmiercią zdążył wskrziesić
i przed nami ze ściśniętym stoi gardłem
na cóż zda się nieśmiertelność poecie
jeśli słowa, wszystkie słowa są już martwe.”

Czasami odnosi się wrażenie, że żadne wyrazy nie opiszą tragicznych wydarzeń. W tym sensie są one martwe. Niedoskonałość słów wynika także z faktu, że niektórzy interpretują je dość dowolnie, tak jak im wygodnie. O tym aspekcie pisał kiedyś Stanisław Baliński w wierszu „Do poetów polskich”:

„Poeci, słów się strzeżcie, zabrano wam słowa,
musicie zacząć pieśni jutrzejsze od nowa!
Słowa, co były kiedyś natchnień waszych tarczą,
zabrali wam tyrani i pieśniami warczą,
robiąc zeń broń tajemną, którejście nie znali,
drapieżniejszą od ognia i twardszą od stali.

Bo jak nam mówić PRAWO, gdy je kat wymawia
co godzina do więźniów ginących z bezprawia,
jak nam szeptać MIŁOŚĆ i jak OCALENIE,
kiedy tyran w ich imię wiedzie na stracenie.
I jak nam mówić WOLNOŚĆ i jak mówić CZŁOWIEK,
gdy je tyran wymawia bez zmrużenia powiek
i co dzień, jak modlitwę, do mózgów nam wierci,
pędząc po świecie ludzi od śmierci do śmierci. (...)

Poeci, wasza mowa już dziś nie ma siły,
próżno sławicie przeszłość, wieńczycie mogiły
i próżno przyrzekacie świat bez nienawiści.
– Oni to zrobią za was zręcznie i soczyściej.”

Słowa nieraz są bezradne wobec ogromu zła. Co gorsza, wydaje się, że utraciły swą wymowę. Jak pisze Różewicz w utworze „Ocalony”:

„To są nazwy puste i jednoznaczne:
człowiek i zwierzę
miłość i nienawiść
wróg i przyjaciel
ciemność i światło”.

Pojęcia stały się puste. Ale to tylko częściowa prawda. W tym momencie wróćmy do *Głosów*. Nie są one – jak by wynikało z motta – tylko polemiką z Miłoszem, lecz próbą podjęcia tematu, przed którym Miłosz się cofnął. Te *Głosy* są kolejnymi głosami w dyskusji o sensie poezji, w obliczu przemijania, w obliczu śmierci. To nie Urbankowski włącza się jako czwarty do dyskusji, w której przedtem głos zabrali Baliński, Miłosz i Różewicz. Do dyskusji włączają się – dzięki poecie, który sam siebie redukuje do roli medium – autentyczni bohaterowie wydarzeń.

2. Dzieciństwo za drutami

Najbardziej chyba wstrząsające są głosy dzieci oraz głosy na ich temat. Jak w ogóle trafiały one do obozu? Otóż działo się to w ramach tzw. Kinderaktion, o której wspomina notatka Schmidta będąca dyskretną polemiką z Biblią i aluzją do opowieści o Herodzie: „Am Anfang”:

„Kinderaktion. 12 August 1940. Wyłapywanie dzieci umykających przez krwawe ulice Warszawy i tyłu innych miast. Kinderaktion. Wagony nabrzmiałe skowytami, wapienne okna krzyczące ludzkimi głosikami mamó, tato, czemuście mnie opuścili. Kinderaktion. Sztynne ciała ułożone w stopy jak okaleczone lalki, dym, który zmienia w noc każdą porę dnia. Kinderaktion. Nad obozem, nad światem krwawo płonąca gwiazda, ogromna gwiazda, od której zaczniemy liczyć lata nowej ery. Nie od cudu narodzin, od Dzieciobójstwa. Cud Dzieciobójstwa przeciw cudowi Narodzin”.

Taki był początek obozowego świata dzieci. I nie jest to wymysł poety. Taka akcja rzeczywiście miała miejsce. Przypomina o tym Urbankowski w „Listach do tłumaczki”, które stanowią jakby dodatkową „powieść o powieści”:

„Niemcy zsyłali do obozu nie tylko dorosłych. Do Oświęcimia a potem do Buchenwaldu trafiły ofiary Akcji Dziecięcej z 12 sierpnia 1940 roku – powtarzanej potem w wielu miastach Generalnej Guberni, pod pretekstem oczyszczania ulic z małych włóczęgów. (...) Świadkiem takiej akcji była moja babka. Niemcy wpadli na podwórko przy ulicy Pańskiej w Warszawie i zaczęli wyłapywać dzieci, które po prostu grały w piłkę – w tym syna sąsiadki. Kobiety próbowały ratować te dzieciaki, zjawiała się matka chłopca. Żołnierz prowadzący dzieciaka skłonny był nawet „pertraktować” – niestety zjawił się jakiś oficer z większą grupą żołnierzy, dla postrachu strzelił kilka razy w powietrze, chłopca wywleczono razem z jego matką i jeszcze dwoma – trzema dziećmi.”

Jakie były dalsze losy tych maluchów? Większość oczywiście była od razu zabijana. Przejmująco brzmi głos jednego z takich dzieci w utworze „NN lat 6”:

„Mamusiu
ja przecież byłem grzeczny!
Ciemno
Ciemno”.

Graficzny zapis utworu (przypominający krzyż!) jest aluzją do męki Chrystusa. Obozowe dzieci też były zbiorowym Chrystusem. Nie pędzono ich na Golgotę, nie ginęły na krzyżu – ten rodzaj śmierci Niemcy przeznaczali dla najbardziej nienawidzonych więźniów, np. dla 12 powstańców z Warszawy ukrzyżowanych w obozie Leitmeritz. Dzieci na ogół były powoli zamęczane pracą. Jedną z takich robót było czyszczenie od wewnątrz gilz pocisków. Dzieci się świetnie do tego nadawały ze względu na szczupłe ręce...

A co z maleństwami, które przychodziły na świat w obozie? O ich losie opowiada wiersz „Anna NN”:

„A jednak jest to izba porodowa.
Jednak i tu w obozie
dzieci przychodzą na świat.

Czarnowłosa kobieta, która właśnie urodziła,
jeszcze dyszy jak zwierzę.
Akuszerka przecina pępowinę.
Podaje dziecko więźniarkom.
Więźniarki topią je w kubie.”

Odbywa się więc znowu „Cud Dzieciobójstwa przeciw Cudowi Narodzin”...
A co przeżywały dzieci, które nagle znalazły się za drutami? Ile z tego rozumiały? Oddajmy głos – Karolkowi Kaczyńskiemu (utwór „Karolek lat 3”)

„Tatkę zabrali od nas jeszcze z rampy
kazał opiekować się mamą
on teraz idzie na wartę.

Potem starsi więźniowie zmajstrowali mi powóz
udają konie i jeździmy po obozie
czasem biję ich batem
wtedy rzą i jedziemy jeszcze szybciej!
Nawet panowie esesmani się śmieją.

W obozie jest też prawdziwa księżniczka Mafalda
poznajemy to po tym
że czasem nad blokami przelatują gołębie
stary Efraim śpiewa nawet po ciemku
a nauczyciel muzyki
znalazł skrzypce, sam nie wie gdzie –
pewnie ona jakimś cudem pomogła!

Kiedy pytałem o tatę
pan Mitas śmiał się, że to wietrzna warta
tacie musi być tam strasznie zimno
nawet płaszcz wojskowy został w domu”.

Karolek jest całkowicie nieświadomy grozy sytuacji, w jakiej się znalazł. Tato odszedł na wietrzną wartę (gra słów uchwytna przy głośnym czytaniu: wietrzną /wieczną), sam obóz może być bajkowy. Ma przecież powóz, którym może jeździć niczym księżę, jest tu najprawdziwsza księżniczka, a dobry Żyd Efraim oraz nauczyciel muzyki prześcigają się w umilaniu życia różnymi melodiami. Martwi się w gruncie rzeczy tylko tym, że tacie jest na warcie strasznie zimno.

Ta cudowna nieświadomość nie trwa jednak zbyt długo. Słowa kolejnego utworu zatytułowanego również „Karolek lat 3” świadczą o zburzeniu dziecięcego świata wyobraźni. W ten świat wkradają się już realia obozowego życia – przede wszystkim śmierć:

„ – W nocy ktoś mówił przez sen
zginęła księżniczka Mafalda
nikt jej nigdy nie widział ale wszyscy są smutni...
Czy zginęła jak ja kiedyś w lesie?
Czy można ją jeszcze odnaleźć?

– Nie syneczku, nadleciały samoloty,
znaleziono tylko strzęp sukienki
nikt nie wie, gdzie szukać księżniczki...

– A czemu ten stary Efraim,
ten co dawał mi czasem chleb
nie wstał z pryczy
i oddycha tak jakby płakał?

– On umiera, umiera synku,
bądź chociaż cicho.”

Karolek widzi, że nie wszystko jest jednak bajkowe. Prosi o wyjaśnienia matkę. Pewnie chciałby, żeby powiedziała mu ona, że da się odnaleźć księżniczkę, że Efraimowi nic poważnego nie jest. Matka rozwiewa jednak jego świat złudzeń. Ma straszną rolę. Musi tak małemu dziecku opowiadać o śmierci. Pozbawia je w ten sposób dzieciństwa. Jednocześnie jednak tylko zdając sobie sprawę z realnych zagrożeń można ich skutecznie unikać. Karolek musi więc być świadomy realiów obozowych, aby przetrwać.

Rodzi się pytanie: co z dziećmi, które przetrwały cudem obóz? Jak te straszne doświadczenia odbiły się na ich życiu? Można snuć tylko domysły. Być może w niektórych przypadkach było tak jak w opowiadaniu Nałkowskiej z *Medalionów* – „Dorośli i dzieci w Oświęcimiu”. Przytoczmy jego końcowy fragment.

„Doktor Epstein, profesor z Pragi, przechodząc ulicą między blokami oświęcimskiego obozu w pogodny poranek letni, zobaczył dwoje małych dzieci jeszcze żywych. Siedziały w piasku drogi i przesuwwały po nim jakieś patyczki. Zatrzymał się przy nich i zapytał:

– Co tu robicie, dzieci?

I otrzymał odpowiedź: – My się bawimy w palenie Żydów”.

3. Życie w obozie – ekstremalny egzamin z człowieczeństwa

Zastanówmy się przez moment, co właściwie oznacza pojęcie „człowieczeństwo”? Można je bowiem różnie interpretować. Jeśli za punkt wyjścia przyjmujemy motto *Medalionów*: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”, możemy uznać, że ludzkie jest wszystko, co wypływa z wnętrza człowieka. Zarówno dobro, jak i zło. Męstwo i tchórzostwo. Szlachetność, ale i okrucieństwo, podłość.

Można jednak jako „człowieczeństwo” rozumieć jako to, co nas różni od zwierząt, a mianowicie zdolność do uczuć wyższych, do tworzenia kultury, do kierowania się wartościami, a nie ślepyim instynktem. Ku takiemu pojmowaniu skłania nas utwór „Doc. Tadeusz Płuzański”. Zacytujmy jego najważniejsze fragmenty:

„Zapewne pamiętasz, drogi Mietku,
że podczas lekcji filozofii
aby nie nudzić – ucząc
ujmowałem nasz problem mniej poważnie:
nie gwiazdy, które pędzą w pustkę
błyskając światłem z przeszłości
jakby nadawały SOS
ale to jak się różnić od małpy
oto problem filozofii człowieka!
Oczywiście myślałem, drogi chłopcze,
że ja, nauczyciel, trochę poeta
że ja ten egzamin mam za sobą.

Okazuje się jednak, drogi chłopcze,
że musimy zdawać go codziennie
że godność, czy odwaga
to nie są dożywotnie stopnie naukowe...”.

Ten egzamin każdy musi zdawać codziennie. Jednak w warunkach obozowych jest on szczególnie trudny. Niemcy dążyli do odarcia człowieka z jego godności. Chcieli, żeby zamienił się on w zwierzę kierowane jedynie ślepyim instynktem przeżycia. Czy im się to udało? Na szczęście nie do końca. Na pewno wielu dało się złamać i stali się osobami podłymi, zdolnymi do donosów za kromkę chleba lub znęcania się nad innymi więźniami. Pojawia się przy okazji problem: jak ich osądzić (ten temat bywał poruszany w literaturze – przypomnijmy sobie chociażby *Popiół i diament*). Czy zrzucić winę na „nie-ludzkie” warunki obozowe? Czy uznać, że zło czynione w takich warunkach przekreśla dobre czyny tej osoby poza drutami? Czy jako okoliczność łagodzącą uznać chęć przeżycia dla kogoś, kto po drugiej stronie muru czeka z nadzieją na cud powrotu? A może uznać, że skoro byli tacy, którzy nie dali się złamać i ocalili swoją godność, to można tego wymagać także od pozostałych?

Wśród tych, którzy nie wytrzymali, znajdują się zresztą nie tylko osoby, które stały się podłe. Czasem to po prostu ludzie „mniejszego serca”, jak „Pan Jezierski” wspomniany w utworze „Ksiądz Franciszek, katecheta”. Jakiego to przewinienia się dopuścił?

„znaleźli u niego medalik
 (Matka Boska – pamiątka z Częstochowy i z dzieciństwa)
 wystarczył kopniak w krocze, może dwa
 by go rzucił na ziemię i podeptał.
 Uczciwość nakazuje dopowiedzieć,
 że płakał
 że i dzisiaj płacze, po nocach błaga Boga
 o jeszcze jedną próbę...”

Na szczęście tę próbę dostał – wpadł na szczęśliwe rozwiązanie. Jak pisze „Ksiądz Franciszek, katecheta szkolny”:

„Pan Jezierski – ten drukarz z Poznania
 by nikt mu nie wziął medalika z Marią Panną
 – jedynej pamiątki po matce –
 wytatuował go sobie na piersiach.
 Znosi ciosy pałką i pięścią”.

Jednak wiele osób zdało egzamin pozytywnie. Byli cisi święci, jak duchowny czeski Josef Čvrček, który znalazł ucieczkę od zła w filozofii. Udało mu się – tak przynajmniej sądzi – rozwiązać zagadkę Chrystusa przez analogię do cierpień obozowych Chrystusów. Ani ci z Buchenwaldu, ani tamten z Galilei nie urodzili się jako bogowie, nawet jako aniołowie. To cierpienie – zdaniem księdza – filozofa przyspieszyło ich ewolucję, doprowadziło na szczyt hierarchii bytów:

„Nie, nie urodził się Bogiem, aniołem, nie umiał fruwać –
 tutaj wszystkiego się uczył:
 czołgał się bity przez Niemców
 a jednak wstawał
 dzielił się chlebem, głodował;
 coraz lżejszy
 w końcu oderwał od ziemi pełne bólu stopy.”

O duchownych napiszę szerzej w następnym rozdziale. Ktoś może ironicznie stwierdzić że przecież od kapłana siłą rzeczy oczekuje się dobroci, bohaterstwa, wierności swoim ideałom. W końcu jest z wyboru sługą Boga. Po nim można się więc spodziewać takiej postawy. Jednak wiele osób, których nie złamało obozowe piekło, to nie duchowni, a zwykli, świeccy ludzie. Oni

także przeżyli ewolucję swego człowieczeństwa. Wartości, które były dla nich ważne, przetrwały w ich sercach. Gdy inni osuwali się w świat zwierzęcy, oni ocalili swoją ludzką godność.

Jedną z takich wartości była miłość. Oddajmy głos „Marii NN”:

„Kochałam tylko ciebie, Chris, wszystko inne nie było ważne
i czułam, że to twoje, musiało być twoje –
niemożliwe
by z takich pieszczot, pocałunków, z takich słów
miało się nic nie narodzić!

Dziecko miłości, która
zwyciężyła obóz i śmierć. Pisklę
o wielkich oczach i paznokciach
mniejszych niż płatki śniegu...
Czyż mogłam je zostawić
Musiałam iść z nim
aż tam...”.

Matka poszła więc z dzieckiem na śmierć. Nie mogła go ocalić – postanowiła umrzeć razem z nim, do końca je tuląc. Opowieść smutna, ale dla tego świata pełnego śmierci dość typowa. Posłuchajmy jednak jej zakończenia:

„Ale ja przyciskając swe pisklę, ja dziękowałam Stwórcy
że nawet tu, za drutami
dał nam tyle chwil szczęścia.

Narastał łopot skrzydeł, mrok pękał, widziałam
coraz wyraźniej twarz, nie, nie Boga
widziałam twoją twarz
czułam dotyk twych rąk.”

Podsumowaniem historii Marii NN, Marii Nieznanej są słowa Wilhelma Meiera z poświęconego mu wiersza:

„Ale ona woląa iść do gazu
z czymś, co nie było jeszcze człowiekiem
i nie mogło – bez względu
na marzenia ludzi, nawet Boga.

Udając nadzorcę komanda
odprowadzałam ją przez śnieg na blok śmierci
nie krzyczałam jak inni: schnell, schnell!

Moje milczenie było jedynym pożegnaniem
Moje słowa są jedynym jej grobem”.

Jej poświęcenie wzrusza więc nie tylko więźniów. Człowiek, który wypowiada te słowa, był zresztą w niej zakochany. Wzajemność nie była możliwa, ponieważ, jak mówił:

„Nigdy nie zdobyłem jej duszy
dla niej
byłem tylko Niemcem”.

Wzruszającym i trochę szokującym dopełnieniem historii Marii Nieznanej jest wyznanie „Andrzeja z Warszawy, lat 16”:

„ja jeden cię kochałem
choć
nie miałem odwagi nawet
dotknąć twojej ręki
mario

pamiętasz
wtedy
po porodzie
na margarynę i przylepkę chleba
powiedziałaś
pierwsze kwiaty tej wiosny

mario
listy do niego przeniósłem
tylko tę bułkę
zatrzymałem
by dać ci ją znowu
tobie była bardziej potrzebna

mario
czy mi wybaczysz

mario
nie doczekałem
aż odrosną ci włosy
ale tam
na pewno będziesz miała
długie złote warkocz

i dam ci kwiaty
prawdziwe
pachnące kolorowe
i niejadalne

bo przecież ci głodni z obozu
gdzie trafią – jeśli nie tam z nami”.

Pointa porażająca – jeśli się wmyślimy w jej sens.
Najtrafniej wątek miłości obozowej podsumowują słowa dwóch utworów o identycznym tytule: „Hanka”. W pierwszym z nich czytamy:

„Ale jeszcze jesteśmy.
Jeszcze możemy dotknąć swoich rąk.

Miłość nie jest celem drogi,
jest światłem nad drogą”.

Drugi jest na tyle ważny, że pozwolę go sobie przytoczyć w całości:

„Nie wiedziałam, że można się spotykać
w magazynie wysłanym płaszczami umarłych
w umywalce zakaźnego bloku
w piwnicy
jakby wnosząc tam światło

Że można się spotkać na chwilę
tak długą jak uścisk ręki, jak spojrzenie

Mówiliśmy o chlebie, prawda, że szarym
o znajomych i nieznanym zmarłych na tyfus
o tym, że smród z ciał i powietrze
nigdy już nie będzie jak kiedyś

że pojedziemy nad morze, które
dlaczego jest ciemnozłote

Mówiliśmy o sprawach ważnych i nieważnych
ale przecież
cały czas mówiliśmy o miłości.

Miłość jak wiersz
nie może być próżnym kubkiem
nie może być tylko słowem
pustym w środku.”

To miłość właśnie była w obozie największym światłem pośród cieni. Pozwalała być silnym nawet w tak strasznych warunkach. Dawała moc wytrwania. Była silniejsza od śmierci, choć nieodłącznie z nią związana, o czym przypomina nam utwór „Xawery Dunikowski”:

„Strasne jest pokrewieństwo
śmierci i miłości. W ich spazmie
życie jakby uwolnione spod kontroli
tańczy i rzuca się w konwulsjach i krzyczy.

Ukryci przez lekarza
wśród tyfusu i konających – na pograniczu życia
niemal co noc słyszeliśmy
rzężenie ludzi i łopot
ciemnych skrzydeł anioła.

Z cichym śmiechem wbiegali na nasz blok
Edward, Mała i inni kochankowie
nie widzący śmierci ani nas
ogromnymi oczyma wpatrzeni w niewidzialne dla innych światy –

Widząc tyle śmierci – mówił doktor
tyle śmierci, z których się nie wraca
pozwólmy im na tę jedną
z której mogą powrócić.

Gdy przemijają wiara i nadzieja
dorzucal – jakby do siebie – ksiądz
niech zostanie choć miłość, Boże

Tylko miłość odbuduje wiarę
nigdy odwrotnie.”

Wzajemne przenikanie się śmierci i miłości przybierało w obozie najrozmaitsze formy. Niektórzy zakochani przetrwali piekło. Niestety, znacznie częściej zdarzało się, że para została rozdzielona przez śmierć. Czasem oboje ginęli. Nieraz też jedna osoba ofiarowała z miłości swoje życie za drugą (nawet za zupełnie obcą – przypomnijmy sobie chociażby poświęcenie ojca Maksymiliana Kolbego!).

W obozie istniały więc dwa rodzaje miłości, które rozróżniamy w teologii katolickiej. Jedna to amor – miłość zmysłowa kochanków, piękna, choć przeciwstawiająca ich w pewnym sensie światu i ludziom. Druga – to caritas, uczucie pojmowane szerzej, niekoniecznie zmysłowe, otwarte na świat i Boga. Oba rodzaje miłości w obozie miały wielki sens. Pozwoliły bowiem na ocalenie człowieczeństwa.

Przetrwiała nie tylko miłość, ale i wspólnota, poczucie solidarności z towarzyszami niedoli. Zdarzały się nieraz przypadki, że jeden więzień ratował drugiego czy dzielił się kromką chleba. O licznych wzruszających gestach pisze poeta w utworze: „Doktor Alina”:

„A jednak to, co było zmyśloną opowieścią
światłem, szelestem zaledwie nad kartami pergaminu
stało się ciałem:

Ten Łazarz – Gajowniczek, bliższy śmierci niż życiu
wciąż się tłukł po obozie, z nadludzką siłą pchał taczki
nosił za nas kamienie oblane potem
dzielił się miską zupy –
rozdawał swoje życie.

Doktor Dering – pamiętam
kładał się obok chorych
objmował rękami jak dzieci
– jakby wrywał śmierci-
dzieląc się ciepłem
rozdawał swoje życie.

I rotmistrz Pilecki, który
zostawił wszystko co kochał – dom, dzieci z buziami przy oknie
by przybyć do obozu,

I ojciec Kolbe, który
poszedł na śmierć głodową
za innego więźnia -

– oni rozdawali swoje życie.”

Z utworu „Kohout” dowiadujemy się z kolei:

„Nawet tutaj w trupiarni
zbieraliśmy się, aby wspólnie
żuć chleb słuchać wierszy
i raz
odważyłem się śpiewać wraz z innymi
balladę o nadziei
choć nie miałem głosu
ani nie znałem języka”.

We wspólnocie więźniowie podtrzymywali w sobie nawzajem nadzieję. Śpiewali razem pieśni, by dodać sobie otuchy. Słuchali wierszy będących bal-

samem dla serc. Dzielili się chlebem. W nieludzkich warunkach potrafili więc ocalić swoje człowieczeństwo.

A co z tymi, którzy zgotowali im piekło? Trudno im wybaczyć to, co uczynili. Jak mówi poeta w utworze „Ojciec Jan”:

„Wybaczać
to znaczy zostać współnikiem

wziąć jeszcze udział w zbrodni
nawet po niej”.

Najprościej byłoby więc ich potępić. Tylko, że ich obraz nie jest jednoznaczny. To nie są wyłącznie kaci pozbawieni ludzkich uczuć. Ich wizerunek jest złożony, wielowymiarowy. O Niemcu zakochanym w Marii już pisałam. Poznajemy także esesmana, który dał jednej z kobiet karteczkę dla dziecka oznaczającą życie i parę innych pozytywnych postaci. Nie można postawić znaku równości między Niemcem a katem. Ludzie dobrzy i źli są w każdym narodzie. Warto o tym pamiętać. Warto, by spełniła się nadzieja wyrażona w jednym z wierszy z cyklu „Dr Polak – listy w butelkach po lekarstwach”:

„Żeby z ziaren pamięci wyrosło coś więcej
niż gorzki owoc nienawiści”.

Głosy mają więc mimo całego swojego smutku wyraźny wydźwięk optymistyczny. Dają nadzieję, że nawet w najgorszych warunkach można ocalić wartości. Czasami ocalają wiarę w Boga. Czasami – wiarę w człowieka.

4. Bóg w obozie

Czy w świecie obozowym jest w ogóle miejsce dla Boga? Czy On istnieje? Czemu pozwolił na takie zło? Te rozważania przewijają się przez całą książkę. Pozornie sprawa wydaje się prosta. Motto jednego z podrozdziałów brzmi jednoznacznie:

„Minęła epoka Ducha
minęła epoka Ciała,
nadeszła epoka Mięsa”.

Człowiek jest tylko mięsem. Jego skóra będzie służyć do wyrobu ozdobnych przedmiotów, złote zęby zostaną przetopione, a z tłuszczu zrobi się mydło. Po człowieku nie pozostaje nic. Jak wspomina Miłosz Sołtys, pielęgniarz:

„Nie to, że brudziliśmy się krwią
najbardziej przerażało
to

że wysychała tak szybko
jakby jej nigdy nie było”.

Zdaje się, że w takim świecie nie ma w ogóle miejsca dla Boga. Zwątpienie w Jego obecność pojawia się na kartkach *Głosów* niejednokrotnie. Jak dowiadujemy się w utworze „Józef Kwietniewski”, „Na bramie obozu ktoś napisał Bóg umarł”. W „Dekalogu Jana Izydora, Häftlinga” czytamy z kolei między innymi następujące przykazania:

„1. Jest tylko obóz wokół ciebie i w tobie obóz.

3. Nie ma Boga aniołów nawet szczyt Ettersbergu jest tylko złudzeniem we mgle mgła jest

10. Lenz nie bije Schmidt nawet rzuci peta jeśli skłonisz się jakby przed Bogiem którego zresztą nie ma patrz pierwsze – trzecie przykazanie”.

Nie ma też nadziei na cud Bożego Narodzenia w Wigilię. Jak czytamy w wierszu „Unbekannt”:

„Anioł niosący zwiastowanie
behradnie krąży nad barakami obozu
z których więźniowie wywlekają setki ciał młodych kobiet...”.

Nic dziwnego. Odbywa się tam przecież „Cud Dzieciobójstwa przeciwko cudowi Narodzin”.

Jeśli nawet więźniowie nadal wierzą w Boga, to większość jest przeciw Niemu zbuntowanych. Jeden z nich w utworze „NN 30 628” mówi:

„Przez setki dni i nocy
powtarzałem swoje nazwisko –
literę po literze –
marząc godzinami na apelu
dźwigając kamienie, skomląc pod uderzeniami –
powtarzałem swoje nazwisko.

Napiszcie mi je na grobie,
niech nie zapomnę.
Gdy Bóg zawoła – rzucę mu je w twarz.”

Nieco łagodniejszy, ale równie przejmujący w wyrazie wydaje się protest przeciw Bogu, który pozwala na zło, wypowiediany przez „Alę NN”:

„Aniele Boży, Strózu mój
który trzymasz behradnie w dłoni
krzyż z papieru poplamiony krwią
wzleć nad obóz, nad świat szalony

wzleć w niebiosą – jeśli jeszcze są
szukaj Boga wśród dymu i chmur
szukaj Boga. I jeśli Go spotkasz
nic Mu nie mów. Tylko krzyż Mu pokaz
Aniele, Strózu mój...”

Czemu Bóg pozwala na takie zło? Czemu milczy? Czemu nie ześle anioła gniewu, nie ciśnie pioruna z nieba i nie ukarze tych, którzy zgotowali więźniom piekło? Czyżby był bezradny? Jak się to ma do naszych wyobrażeń o sprawiedliwym Bogu, który za dobre wynagradza, a za złe karze? Przecież zło nie jest tu w ogóle ukarane. Jak wierzyć w niebo, skoro człowiekowi zgotowano tu piekło, a ci, którzy je zgotowali, są całkowicie bezkarni? Czy więc niebiosą nie są puste albo Pan jest martwy lub obojętny na ludzkie sprawy?

O tej obojętności Boga na losy ludzkie i Jego, i niewzruszoności pisze – Urbankowski w utworze „Ludwik Fleck”:

„Mówią, że do spojenia piramid
kapłani faraona używali krwi żydowskich dzieci

Może to nie była prawda ale mówią
iż Anioł
rzucił przed tron Jehowy
dziecko z którego ciekła strużka krwi.

Zapłakał Bóg – uwolnił naród żydowski z niewoli.
Jedno dziecko poruszyło Jego serce.

Dlaczego nie wzruszył Cię, Panie milion zabitych dzieci”.

Pojawia się także problem: czy tak wielkie zło może zostać odkupione? Czy ofiara Chrystusa, który umarł za nasze grzechy, by zbawić świat, jest wystarczająca? W utworze „Hans Strauss” trafiamy na słowa powątpiewania:

„W czasach dzieciństwa ludzkości, dzieciństwa zła
o, wtedy wystarczyły jęki jednej ofiary, Galilejczyka
miarka krwi ciekącej spod gwoździ i najbardziej bolesny
cichy charkot: ojczę,
ojczę czemu mnie opuściłeś.

Łza Boga
wstrząsnęła, oczyściła ziemię.

Po dwóch blisko tysiącach lat
dwóch tysiącach lat krzywdy i płaczu
śmierć jednego sprawiedliwego nie wystarczy.

Wszyscy, wszyscy jesteście winni:
zbrodniarz i matka zbrodniarza i przyjaciel
i dziecko spożywające owoc zbrodni (...)
(...) Tak czy tak
wszystkim zostanie okazana sprawiedliwość
niektórym jeszcze łaska.”

Utwór niby kończy się optymistycznie – sprawiedliwość zatriumfuje. Zwróćmy jednak uwagę, że jest to sprawiedliwość rodem z Sądu Ostatecznego. Łaska będzie okazana tylko niektórym. Nie wszyscy zostaną zbawieni. Optymistyczna wymowa Nowego Testamentu (odkupienie wszystkich grzechów) zostaje tu poddana w wątpliwość. Są zbrodnie i winy tak wielkie, że nawet ofiara Chrystusa ich nie zmaże. Może inaczej było „w czasach dzieciństwa ludzkości, dzieciństwa zła”, kiedy zło jeszcze raczkowało. Ale teraz jest ono w pełni dojrzałe i jeśli jest Sprawiedliwość, to nie ma przebaczenia. Iskrę nadziei, jedną jedyłą, ale jednak rzucił w czarną historię rodu ludzkiego św. Augustyn. Odszedł od starotestamentowej surowości Biblii w stronę dobra. Wszyscy powinni być ukarani, wszyscy są tak winni, że nawet śmierć nie jednego, a wielu Chrystusów takiego zła nie zmaże. Istnieje jednak Łaska...

To oczywiście nadzieja, to nie uprawniony niczym optymizm. Są w zbiorze jednak wiersze, w których nie ma takiego optymizmu. Należy do nich jeden z wierszy cyklu „Dr Polak – listy w butelkach po lekarstwach”. Tu znajdujemy nieco inne (choć z pozoru podobne) myślenie o Bogu:

„Zapomniałem napisać, że powiesili i Józka – głodomora.
Prawda, że ukradł chleb
– ale nie on stworzył: obóz i głód i ten chleb!
Gdzie był Bóg, który kiedyś, kiedyś
karmił rzesze jednym bochenkiem, jedną rybą.
Gdzie Bóg... Nie potrafię odpowiedzieć. Może...
Może lepiej żyć bez odpowiedzi
niż bez Boga.”

Być może Bóg nie obdarza łaską, być może jest porażająco inny niż nasze wyobrażenia o Nim. Ale człowiek może udzielić sobie łaski nadziei, niezależnie od tego, jaka jest prawda. Życie bez Boga oznacza brak jakiegokolwiek nadziei, że nasze cierpienie ma sens. Lepiej więc wierzyć, nawet jak się ma różne wątpliwości. Cóż z tego, że nie ma teraz odpowiedzi na nasze pytania? Może tak właśnie trzeba? Jak pisał ksiądz Jan Twardowski w wierszu „O cokolwiek zapytasz”:

„O cokolwiek zapytasz
trzeźwie cię milczenie
Bogu nie stawia się pytań dlaczego”.

Odpowiedzi na wszystkie pytania dostaniemy po tamtej stronie. Wtedy wszystko będzie jasne. Wszystko, co zdarzyło się w życiu, będzie miało inny wymiar.

Nadzieję, że niebiosa nie są puste, niesie też fakt, że obóz to nie tylko zło. To, co dobre w człowieku – miłość, solidarność, poświęcenie, męstwo – potrafiło przetrwać. Byli bohaterowie, cisi święci – zarówno wśród osób świeckich, jak i duchownych.

Czas poświęcić naszą uwagę tym ostatnim. Przez kartki książki przewija się wiele niemal dosłownie świętych i świetlistych postaci. Kilka utworów poświęconych jest ojcu Maksymilianowi Kolbemu. Pojawia się wspomniany już wcześniej czeski duchowny Josef Čvrček. Niejednokrotnie wspomniana jest bohaterska śmierć za wiarę księdza Józefa, który zginął, ponieważ nie chciał podeptać różańca. Kolejną piękną postacią jest ksiądz Mieczysław. W jednym z utworów z cyklu „Doktor Polak – listy w butelkach po lekarstwach” poznamy jego historię:

„Dowiedziałem się, że ksiądz Mieczysław
nie został porwany z ulicy przez Niemców.
Sam wślizgnął się do transportu –
w swetrze, z chlebakiem w którym ukrył hostie.
Cieszył się, że więźniowie nie będą samotni”.

Gdy już zabrakło hostii, księża rozdawali komunię z chleba. O takim geście (oraz o nauce głoszonej przez duchownych) pisze przejmująco poeta w utworze „Ksiądz Józef Demski”:

„Uwierz, mówiłem, raz jeszcze zaufaj kamiennym tablicom
które oparły się płomieniom czasu,
uwierz kartom Biblii zakopanej tu, w ziemi obozu
jak nasiona rzucone w przeszłość i przyszłość zarazem –
Uwierz w Miłość. Uśmiech, który komuś rzucasz
wróci do ciebie, wcześniej czy później wróci
bo tak urządzony jest świat –
– Pochylił głowę –

Wepchnąłem pomiędzy wargi komunię z czarnego chleba,
błogosławiąc go – czułem jak życie
ogrzewa i moje dłonie...”

W dalszej części utworu dowiadujemy się, że był to ostatni sakrament – człowiek, który przyjął komunię, wkrótce umiera. Jednak mógł spokojnie, pełen nadziei iść w zaświaty. Przez moment był szczęśliwy, otoczony miłością, światłem i ciepłem.

Z kolei „ksiądz Franciszek, katecheta szkolny” wypowiada bardzo znamienne słowa:

„Na tym świecie
najłatwiej nie wierzyć w Boga
wiara nie wymaga odwagi
wymaga bohaterstwa”.

Na wspomniane bohaterstwo było stać wiele osób. Ludzie w najtrudniejszych chwilach reagują w dwojaki sposób – albo przestają wierzyć w istnienie Boga, który na nich zesłał taki ból (lub Mu złorzeczą), albo zwracają się jeszcze silniej ku wierze. Ona bowiem nadaje sens cierpieniu.

To zwrócenie się ku wierze manifestowało się w obozie między innymi opowieściami o przyjsciu na świat – nawet w tak potwornym miejscu jak Buchenwald – Mesjasza! Odłamki tego obozowego mitu znajdujemy w wielu wierszach Urbankowskiego.

W wierszu „Vorarbeiter Mitas – „Poznaniak” czytamy następujące pełne nadziei słowa:

„Powrócimy. Z Dobrą Nowiną o Jezusie
który urodził się i czynił cuda
nawet tu w obozowym świecie”.

Wbrew wcześniejszym wątpliwościom (przypomnijmy sobie słowa o „anielu niosącym zwiastowanie, który bezradnie krąży nad barakami obozu”) możliwe jest Boże Narodzenie.

A jakich cudów dokonywał Mesjasz obozowy? Co mógł uczynić? Jedną z możliwości rozpatruje „Jan Kowal”:

„Nawet jeśli to prawda, że w obozie pojawił się Chrystus
to i tak jest jak było: źli są źli, dobrzy dobrzy,
ktoś oddał za kogoś życie, ktoś doniósł na przyjaciela
ten czyni cuda modlitwą, tamten swą pajdkę chleba
dzieli pomiędzy więźniów – jakby wciąż miał ją całą...
Cóż można uczynić więcej?”

W obozie Mesjaszem jest właściwie każdy, kto potrafi czynić dobro. Przejawem Jego istnienia są zarówno drobne gesty, jak modlitwa i dzielenie się chlebem z innym więźniem (jakby wciąż kromka była cała – wyraźna aluzja do biblijnego cudu, gdy Chrystus nakarmił rzesze ludzi bochnem chleba!), jak i bohaterskie czyny – pójście za kogoś na śmierć. Zwróćmy uwagę, że nie ma tu spektakularnych cudów. Nie mają miejsca uzdrowienia chorych czy wskrzeszanie zmarłych. Do rangi boskiego znaku podniesione zostają zwykłe odruchy, dobro, które przetrwało nawet w najgorszych warunkach. Chrystus, będą-

cy jednocześnie Bogiem i człowiekiem, ujawnia przede wszystkim swą ludzką naturę. Dzieli z nami niedolę ziemskiego losu. Cóż więcej może dla nas zrobić?

Zaskakującą wizję tego, co jeszcze mógł uczynić Mesjasz w warunkach obozowych, przynosi nam utwór „V. TRČK”:

„Jedni mówią, że Dzieciak, kiedy wszyscy zasnęli na kamień, nadludzką mocą wyważył drzwi auta śmierci i wrócił za druty, na rewir. Po nocach – jako pielęgniarz – wskrzeszał ciała ciekące tyfusem. Widziano też, jak z płaczem grzebał w gasnącym popiele dobierając żółtawe kostki... Wtajemniczeni dodają, że on jest nauczycielem, który po nocnym apelu przekrada się do trupiarni, mówi wiersze i pisze więźniom listy do rodzin... Starczy złączyć te prawdy, by pojąć, iż w lagrze zjawił się Syn Boży: ma lat sześć, szesnacie i sześćdziesiąt, sprawia cuda i jest w kilku miejscach naraz.

Początkowo oczywiście czynił to, co mógłby czynić w lagrze Mesjasz: rył podkopy, podrzywał gardła esesmanom, kradł chleb i rozdawał głodnym więźniom. Lecz gdy Niemcy otrząsnęli się z szoku, gdy w odwecie zaczęli brać ludzi do głodowego bunkra – zmienił się także Chrystus: dolewał esesmanom wódkę do herbaty, śpiewał z nimi zataczając się po obozie i potem strącał pijanych w nurt kamieniołomu. Albo podrzucał im do ubrań głodne wszy zarażone tyfusem.

Ktoś słyszał, że został wydany. Na bloku skrywał studenta i dziewczynę. Chcieli Go zmusić do cudu, może nawet do spalenia Niemców... Student doniósł na Niego jak Judasz, potem patrzył z nadzieją i wiarą jak esesmani podchodzą, jak podnoszą żelazne pejce... Czekał.

Biegli w Piśmie jednak powtarzają: jest Mesjaszem, jest nieśmiertelnym. Nikt nie może spowodować Jego śmierci – chyba że sam ją przyjmie... A przyjął ją idąc do bunkra za ucznia ze śląskiej szkoły, przyjął ją – umierając za niego. Umierając dniami, tygodniami, pocąc się krwawym potem i nie mogąc, wciąż nie mogąc skonać. Nieśmiertelni nie są tak przywykli do umierania jak my... Wreszcie skonał. Sam – w każdym sensie tego słowa kaleczącego usta.

Ocalony przez niego chłopak umarł kilka dni później, nim skonał – był szczęśliwy.

Był szczęśliwy wiele, wiele godzin.

Tyle tylko mógł Bóg w tamtym czasie, aż tyle –”.

Wizja to – przynajmniej – szokująca. Mesjasz bowiem w imię dobra czyni zło! Chleb, który rozdaje, musi wcześniej ukraść. Zabija Niemców, uciekając się nieraz do podstępów (jak dołanie do herbat wódki i strącanie pijanych w przepaść). Czasem nawet nie zadaje im litościwej szybkiej śmierci, lecz gotuje im długie męczarnie, podrzucając im wszy zarażone tyfusem. Jak dalece to odbiega od wizerunku Jezusa, który uczył o nadstawianiu drugiego policzka i nawet na krzyżu modlił się za prześladowców... Można by powiedzieć, że jakie czasy, taki Syn Boży. Ten współczesny nie jest już łagodnym Barankiem, a Mścicielem. Bliżej mu do starotestamentowego Jahwe, który za dobre wynagradza, a za złe karze, niż do Jezusa znanego z kart Nowego Testamentu. Dzisiejszy Mesjasz zabija oprawców, natomiast dla ich ofiar jest pełen do-

broci. Dzieli się chlebem z głodnymi. Skrywa na bloku dwójkę ludzi. Ofiaruje się na śmierć za współwięźnia. Liczne aluzje do Nowego Testamentu podkreślają Jego podobieństwo do Syna Bożego, w którego wierzymy. Został wydany przez człowieka, który spełnił rolę Judasza. Oczekiwano od Niego wtedy cudu (pamiętamy przecież, jak się naigrawano z Jezusa, krzycząc „Jeśli naprawdę jesteś Synem Bożym, zejdz z krzyża”). Ofiarował swoje życie (wprawdzie nie za całą ludzkość, ale za pojedynczego człowieka). Przed śmiercią pocił się krwawo jak Chrystus w Ogrodzie Oliwnym. Umarł jak On samotnie (pamiętajmy o słowach „Boże mój, czemuś mnie opuścił”). Jego ofiara nie była daremna. Podarował ocalonemu chłopcu wiele godzin szczęścia. Tylko (lub aż) tyle mógł zrobić...

Te słowa „tylko tyle mógł zrobić” brzmią bardzo bezsilnie. Wobec takiego ogromu zła niewiele można uczynić. Jak czytamy w utworze „Ojciec Jan”:

„Jeśli zapytasz com czynił
Cóż odpowiem –

Nie głosiłem fałszywego świadectwa
W czas pogardy

Nie kradłem,
Nie zabijałem,
Nie zadawałem bólu
Gdy zło było ziemią i powietrzem

Jeśli zapytasz
Com uczynił przeciw temu
Cóż odpowiem?”

Zastanówmy się przez moment: czy na pewno Mesjaszem był jeden człowiek? Wątpliwości budzą słowa: „Starczy złączyć te prawdy, by pojąć, iż w lagrze zjawił się Syn Boży: ma lat sześć, szesnaście i sześćdziesiąt, sprawia cuda i jest w kilku miejscach naraz”. Być może takich osób było więc wiele. Ku takiej interpretacji skłania nas także utwór „Bär – Treuer. Rabin”:

„Przeto, iż nie chcieli czytać Pisma
ocalali od śmierci, lecz i od zmartwychwstania nie tych i ciągle nie tych,
których ocalić należało!

Nie był przecież Mesjaszem ten Chłopiec, to dziecko ukrywane pośród chorych.

W powietrzu gęstym od krwi, gęstym od dymu i modlitw – Mesjasz musi dojrzywać przedzej! I Syn Boży nie może być dzieckiem, które zamiast cudów – robi latawce z papieru, albo mówi o górach – choćby nawet wysokich.

Nie był także Mesjaszem ten Czernik i nie był nawet Czernikiem. Szalony rabin z szalonego Międzyrzecza, gdy Niemcy weszli do miasteczka wybiegł na rynek i krzyczał:

Żydzi – krzyczał – dziś czeka na nas Nowe Przymierze. Przed wiekami skazaliśmy Jezusa, który mógł być Wysłannikiem Pana; krzyczeliśmy wypuść Barabasa a ukrzyżuj, ukrzyżuj Jezusa! I krew jego na głowy nasze i na głowy synów naszych jego krew! Dziś nadeszła, o Żydzi chwila próby. I Pan znowu wzywa nas na wielką górę i odnowi Pan Przymierze ze swoim ludem.

– Tak krzyczał rabin a krzyżąc – wiozł Żydów na stację męki. I ze śpiewem wchodzili do wagonów i przybyli na Górę Ettersberg, gdzie Pan i błyskawice i prawda.

I Pan przeklął szalonego rabina i odebrał mu i wiarę i szaleństwo.

I zginął rabin z Międzyrzeca od noża, poświęconego noża.

Nie jest też Mesjaszem doktor Polak – dobry, mówią, lecz dla swego plemienia. Widziałem, jak odpędzał był chorych, którzy ledwo przywlekli się pod rewir. A on wezwał na pomoc Lenza i obydwaj bili chorych kijami. A doktor Polak krzyczał, krzyczał w języku oprawców: symulanci zdolni do pracy, uciekajcie stąd oszuści, ludzie zdrowi. Na doktora wydano już wyrok i nie myślę, żeby zdołał zmartwychwstać – zaprawdę nie jest Mesjaszem...

I na koniec: nie jest też Mesjaszem ten ostatni, co się przezwiał Pawłem.

On przykłada różaniec do ran chorych, czasem znika i ropa i rana...

Ale wiecie, iż prawdziwy Mesjasz będzie czynił prawdziwe cuda.

I nie będzie mu trzeba do tych cudów ani różańca ani innej rzeczy!

Trzeba się modlić i czekać.

Mesjasz może przyjechać już następnym transportem, trzeba czekać.

Gdy Bóg umarł – to w Nim, w Mesjaszu, to w następnym transporcie nasza ostatnia nadzieja”.

Rabin nie wierzy w pogłoski o przyjściu Mesjasza. Być może boi się rozczarować. W każdej osobie, o której chodzą słuchy, że jest Jego wcieleniem, doszukuje się słabości, niedoskonałości. A Bóg przecież musi być doskonały. Musi czynić prawdziwe cuda. Nikogo takiego na razie nie ma. Jednak nie wolno tracić nadziei. Może przyjedzie w następnym transporcie?

A może jednak rabin się myli? Może któryś z odrzuconych z góry przez niego jednak jest Mesjaszem? Co to właściwie znaczy Nim być? Bardzo ciekawą interpretację przynosi nam utwór „Ksiądz Franciszek, katecheta”:

„Taki Kowal: gdy Niemcy
siekierami rozwalili drzwi
krzyczał: mnie, mnie macie zabrać
Tak, ja jestem Jan Kowal!
Z radością przyszedł do obozu
przyszedł za syna, który ma to samo imię!
Myślę, że idąc na druty
Kowal dziękował Bogu
że tak skończył – raz na zawsze – tę sprawę.

Albo patrz: doktor Polak – na zakaźnym
gdzie nikt nie chce pracować
ukrywa więźniów, leczy – narażając od lat swoje życie.
Wczoraj miała być wybiórka do gazu
akurat przywleczono wielu chorych
zdażył wybiec przed rewir
zdażył porozganiać ich kijem
zdażył przed Panem Bogiem

Kowal, doktor Polak, czy ksiądz Jan
który oddaje więźniom swoje paczki
– o każdym możesz powiedzieć:
nie był, ale i był Chrystusem,
każdy wcielał choć jedno słowo Ewangelii.”

W każdym czyniącym dobro w warunkach obozowych można się dopatrzeć Mesjasza. Nie musi on czynić cudów. Może być niedoskonały. Ważne, że „wciela choć jedno słowo Ewangelii”. To wystarczy.

Utwór jest więc wyraźną polemiką z tokiem myślenia rabina. Tam nie było Mesjasza („może przyjedzie następnym transportem”), nikt nie był godny tego miana. Każdy miał przecież jakieś słabości. Według księdza Franciszka Mesjaszem jest każdy, kto wciela Ewangelię w życie. O tym, że utwór jest polemiką w stosunku do słów rabina, świadczy także wytłumaczenie historii doktora Polaka. Po lekturze wcześniejszej przywołanego przeze mnie wiersza można było odnieść wrażenie, że to nie był dobry człowiek. Przecież bił kijami chorych, którzy „ledwo przywlekli się pod rewir”. Mówił Niemcom (wbrew oczywistym faktom), że są w pełni zdolni do pracy, nazywa ich nawet symulantami. Cóż za podłość – myślimy. Prawda jednak okazuje się zupełnie inna. Tego dnia „miała być wybiórka do gazu”. Gdyby nie odgonił ich kijami jako rzekomych symulantów, jako niezdolni do pracy poszliby na śmierć. Rzekoma podłość w rzeczywistości uratowała im życie.

Który głos w dyskusji brzmi bardziej przekonująco? Osobiście zgadzam się z księdzem Franciszkiem. Cząstka Boga jest przecież w każdym z nas. Oczywiście czytelnicy mojej recenzji mogą mieć odrębne zdanie.

Potwierdzeniem wiary w możliwość Bożego Narodzenia oraz przyjścia Mesjasza nawet w warunkach obozowych zdają się być słowa utworu „Vorarbeiter Mitas – „Poznaniak”:

„Powrócimy. Z Dobrą Nowiną o Jezusie
który urodził się i czynił cuda
nawet tu w obozowym świecie.

Powrócimy. I nadymając zwapnione płuca powiemy:
to jest dobro, to zło.

I wyciągając ręce poczniemy uzdrawiać.”

Pobrzmiwają tu dalekie echa słów Różewicza z cytowanego już wiersza „Ocalony”:

„Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności”.

Tymi „nauczycielami i mistrzami”, którzy potrafią oddzielić dobro i zło, są osoby, które w obozie zachowały godność ludzką, nie dały się złamać. Ci, o których ksiądz Franciszek pisał, że są Mesjaszami i wielu im podobnych. Ci, którzy potrafili wypełniać słowa Ewangelii, obozowi cisi święci. Oni powrócą z Dobrą Nowiną, która wypełniła się także dzięki nim. To dzięki dobru przez nich czynionemu mogło się urzeczywistnić Boże Narodzenie.

Zastanówmy się przez moment nad ostatnim wersem. Jak należy rozumieć słowa: „I wyciągając ręce pocniemy uzdrawiać”? W pierwszej chwili narzuca się interpretacja, że będą jak Chrystus w cudowny sposób przywracać zdrowie. Przecież każdy z nich jest Jego wcieleniem. Mają więc taką jak On moc. Jednak czy to jedyne możliwe wytłumaczenie tych słów? Może po prostu będą uzdrawiać świat, leczyć ludzkie serca, żeby koszmar obozów nigdy już się nie powtórzył? A może kuracja będzie polegać na przywróceniu ludziom wiary i nadziei, że Jezus mógł się narodzić nawet w tak strasznych warunkach? Niewykluczone też, że wszystkie te interpretacje są słuszne. Rozstrzygnięcie pozostawiam każdemu czytelnikowi.

Podsumowaniem tych rozważań niech będą słowa Teresy Benedykty od Krzyża, która w jednym z utworów mówi:

„Obóz, świat oplątują cienie,
coraz więcej, coraz więcej cieni
lecz gdzie cień – musi przecież być Światło”.

5. Podsumowanie

Zadajmy sobie na początku pytanie: czy warto dzisiaj w ogóle mówić o obozach? Jaki to ma sens? Przecież to było tak dawno. Te czasy już przeminęły. Po co wspominać o tamtym koszmarze? Nie dość mamy zmartwień i złych wiadomości na co dzień? Tak myśli wielu ludzi. Ma się wrażenie, że jest to bardzo niewygodny temat. Przypomina bowiem, że w człowieku tkwi nie tylko wielkość, dobro i piękno, ale i skłonność do najgorszych zbrodni. Jednak to właśnie dlatego warto o obozach mówić, żeby nie powtórzył się koszmar tamtych czasów, żeby znów nas nie zaskoczyło zło. Warto uświadamiać, że w każdym z nas tkwi potencjalna zdolność zarówno do najszlachetniejszych porywów, jak i do najgorszej podłości. Takiemu uświadomieniu właśnie służą *Głosy*. Lektura to gorzka i wstrząsająca, a jednak – przy całym swoim smutku – optymistyczna. Uświadamia nam bowiem, że nawet w najgorszych warunkach

może przetrwać dobroć, solidarność, poświęcenie. Może ocaleć najpiękniejszy wymiar człowieczeństwa. Można zdać nawet tak ekstremalny egzamin. Było wielu takich, którzy go zdali. O nich właśnie pisze poeta w utworze „Józef Gajda, nauczyciel”:

„żyli w naszym nieludzkim czasie i oni
oni zbawili ten czas
nadali mu ludzkie imiona”.

Oprócz przerażenia ogromem zła *Głosy* dają nam więc także wiarę w człowieka, w jego wewnętrzną siłę. To rzadki przykład książki, w której nie ma żadnego zbędnego słowa. Nikogo nie pozostawi obojętnym.